

ROZMAITOŚCI

Warszawskie.

ŚRODA 29 KWIETNIA.

— DODATEK DO KORRESPONDENTA. —

ROKU 1835.

SALVATOR ROSA. (*)

Był-to świeży i woniejący wiosnianny wieczór; Julija i najmłodsza jej córka, Cecylja, rozmawiały nadzwyczaj wzruszone na progu starego domu, blisko Neapolu, w małej wiosce Renella. Matka przędła; lecz często nieruchome wrzeczono zatrzymywało się w jej palcach, a czarne jej oczy z wyrazem niewysłowionej smutności zwracały się na powabną Cecyliję. Tak miło patrzeć jej było na córkę. Dziewicza, niewinna jej piękność zachwycała serce. Tęskny smutek powlekał czoło. Coś anielskiego było w jej uśmiechu. Długie uploty czarnych włosów spływały na smukłą i lekko pochyloną kibić.

— Matko, — mówił głos jej przenikliwy, — on powróci; czy zdoła żyć zdala od nas? Wszak on tak lubił te góry, i Wezuwiusz, i morze, i piękne neapolitańskie niebo! Dniem pierwszej, nim zniknął, długo przechadzał się po wybrzeżu; dzieci rybaka Agostino przybiegły ku niemu; roztargniony popieścił się z niemi, potem znowu przechadzał się samotny.

— Widzisz, że nieszczęśliwy już zamyślał o ucieczce.

— Matko, nie oskarżaj go; Salvatoriello zbyt nas kochał, aby dobrowolnie chciał nas zasmucić.

— Ojciec ciągle sprzeciwiał się jego upodobaniom, i matka załamała ręce. Jakaż radość powitała jego urodzenie! Jakiśmy się pysznili, że mamy syna! Biedna Cecyljo, pozbawiałam cię najtkli-

wszych pieśczęt, aby wszystkiemi pieśczętami jego tylko obsypać!

— Miałas już trzy córki, droga matko!

— Och! ty jesteś błogosławieństwem, pychą naszej biednej rodziny!

I matka płakała. A mężczyźni i niewiasty przechodzący około domu spoglądali na nią z pełną poszanowania litością.

— Otóż ojciec i mały mój braciszek, — rzekła Cecylja, od kilku minut słuchająca bacznie zbliżającego się stapania mężczyzny i dziecięcia.

Julija lży otarła, Cecylja postąpiła kilka kroków. Małeńki chłopczyk poskoczył naprzeciwko młodej dziewczynie, i z okiem błyszczącym radością ukazał jej gniazdo słowików, które w obu niósł rękę. Głośna była radość jego; Cecylja pocałowała go wesoło, i powściągnęła jego zapęd, wskazawszy ręką na matkę; zasmucił się chłopczyzna i w milezeniu stanął przed Juliją.

— Dzień dobry, Franczesko, dzień dobry; — rzekła łagodnym lecz cichym głosem.

Zbliżył się Antonio Rosa; twarz jego była surowa, wiekiem i troskami poorana.

— Nikt nie przybył? — spytał głosem dziwnie zmienionym, któremu jednakże stałość nadać usiłował.

Matka skinęła głową, a dwie lży wielkie potoczyły się po jej twarzy.

— Po co się tak bardzo smucić? — powiedział znowu ojciec z udaną obojętnością; — gdy się znużysz tem błędnem życiem, powróci do domu.

— O mój Boże! kiedyż powróci? — zawołała

(*) *Salvator Rosa* urodził się 1615 roku, w wiosce Renella pod Neapolem.

matka, podnosząc smutkiem obciążone oczy. Są chwile, w których zupełnie nadzieja serce moje opuszcza. W nocy, gdy nawałnica powstaje na morzu, zdaje mi się, że słyszę jego krzyki, krzyki śmiertelne! I gdzież on jest?... Jak ci się zdaje, Antonio, czy on powróci kiedy? — A jak gdyby lękała się niepomysłnej odpowiedzi, dodała co prędzej: — O! powróci, powróci! A ty go z dobrocią przyjmiesz, wszak prawda?

— Zobaczymy.

— Antonio, nie bądź zbyt dla niego surowym; jenijusz jego był przyczyną wszystkich umartwień, które nam sprawił.

— Otóż znowu ta macierzyńska słabość! Gdybyś ty wszystkiego nie popsuła zbytkiem pobażania, Salvator piękną przyszłość miał przed sobą; a teraz tak będzie biedny, jak i mąż naszej córki starszej. A jednakże, — dodał ojciec z wyrazem goryczy, — Frankanzani ma także jenijusz. I do czegoż to doprowadzi?

Matka westchnęła.

— Gdy Luidzia szła za niego, — mówił dalej Antonio, — miała rumieńce tak żywe, miłe, wesołe uśmiech; a teraz wybladła i smutna!... A to ty także, Julijo, chciałaś koniecznie tego związku; marzyłaś tylko sławę dla zięcia, szczęście dla córki. Nieszczęsny-to dzień, w którym malarz poprosił o rękę Luidzi; dosyć już było jednego żebraka w naszej rodzinie.

Zapłonienie powlokło twarz Julii.

— O moim-to bracie chcesz mówić; wiesz jednak, że mnie tem zasmucasz; Paulo Grekko jest godny człowiek, i szczerę się, że jestem z nim spokrewnioną.

— Jemu-to powinnaś podziękować za pierwsze nauki, które udzielił naszemu synowi. Zapytaj przewielebnych ojców, czy byli zadowoleni z postaci, które Salvator na murach klasztoru pobazgrał.

— Jest jeden, co był zadowolony, — rzekła matka; — Ojciec Ambrozio uśmiechał się, widząc postacie i drzewa, które skreślił mój Salvator; uderzył go z lekka po twarzy i pożyczył mu ogromnej księgi, która opisywała życia wielkich malarzy; wiesz, tę księgę, co-to ją napisał Sinior Vasari. Bądź spokojny, Antonio; nasz syn będzie posiadał kiedyś zaszczyty i bogactwa. Kiedy jeszcze był tak malutki, że inne dzieci w tym wieku zaledwie se-

plenić umieją, on umiał już na pamięć modlitwy i najpiękniejsze psalmy łacińskie.

— Matko, — odezwała się Cecylja, — a jak piękne wiersze robi! jak pieśni, które śpiewa przygrywając na lutni, są miłe i pełne czucia! o! często nad nimi płakałam.

— Tak, — odpowiedział ojciec, — będzie poeta, lutnistą, malarzem, a jednak głód mu będzie dokuczał. Dant szczytne pisał rymy, a umarł z nędzy w Rawennie; Torkwato Tasso odpokutował za swą sławę w szpitalu obłąkanych.

— Oni byli tylko poetami, — zrobiła uwagę matka.

— A Dominikan jest malarzem, wielkim malarzem! Dla czegoż ponura troska osiadła na jego czole? dla czegoż tak blade oblicze jego? Żono, słyszałem od pobożnego, uczonego Kapłana, że życie łatwe jest tylko dla prostych ludzi; że drogi, nieuczęszczane od tłumu, pełne są bardzo ostrych kamieni i wszystko wysuszającego pyłu. Chciałem, aby Salvator był prawnikiem; wyszłoby go wszyscy do nieposłuszeństwa podniecali; każdy kawałek papieru, który nabazgrał, zaraz matka, siostry, bracia, arey-dziełem okrzyczeli.

— Ach! ty sam ojcie! — zawołała Cecylja, — nieraz z podziwieniem patrzałeś na widoki, które pomalował na ścianach swojej izbedki.

— Kto się ciebie pyta? — groźnie ofuknął ojciec. I dalej mówił: — Jenijusz pozwolił się wypędzić z kolegium *Somasca*, pozwoli się wypędzić i zkał inąd. — Spojrzał na żonę. — Julijo, — rzekł, zmieniając wyraz twarzy i głosu, — dzisiaj rocznica twoich urodzin, rocznica naszego ślubu, pozwól niech cię uściskam, kochana żono; oby niebo oszczędziło nam tak przykrych dni, jakieśmy już przeżyli.

— Oby nam Bóg powrócił syna! — rzekła matka mocno wzruszona.

Cała rodzina usiadła do stołu; składała się teraz z Cecylii i dwóch jej małych braciszków. Druga córka była przy chorym stryju. Jedno miejsce było próżne, i po dwakroć oczy matki napotykały oczy ojca, wlepiające się weń z niespokojnością i smutkiem.

Nazajutrz, z poranku, gdy pola neapolitańskie tezną świeżością i wonią, Cecylja, która wyszła za całodziennym sprawunkiem, wracała z małym

Franczesko drużyną ubalsamowaną zapachem głogu. Chłopczyna biegł naprzód, goniąc motylki i biedrzeńce, tak powabnie czarno i czerwono nakropkowane. Nagle dziewczica uczuła jakąś rękę, zasłaniając jej oczy.

— To ty, Luidzio, — rzekła, mniemając, iż mówi do siostry. — Puszczaj mnie, od razu cię poznałam.

Łagodny i dźwięczny głos się odezwał:

— To nie Luidzia.

Dziewica głośno krzyknęła, odepchnęła rękę zasłaniającą jej oczy, i rzewnie płacząc powtarzała: — Salvator! Salvator!

Był-to on w istocie, z pięknym czarnym włosom, spływającym w pierścienie na śniadą szyję, z ciemno-błękitnym okiem, błyszczącym wieszczów natchnieniem, z dowcipnym, pełnym zapалу uśmiechem, giętką kibicią, z lekka odcienioną szerokim pasem.

Gdy Cecylia z pierwszego ochłoneła wzruszenia, wpatrywała się w niego z zachwyceniem i podziwieniem razem.

— Jakżeś ty urosł, teraz prawdziwy z ciebie mężczyzna.

— Moja matka! gdzie moja matka! — zawołał Salvator; — muszę co prędzej zobaczyć moją matkę! Ona pewnie płakała? Wszak prawda, Cecyljo; myślała pewno, że nie żyję!

— Bez wątpienia. Ale gdzie byłeś przez tak długi czas? Dla czegoś nas opuścił?

— Wszystko wam opowiem. A ojciec co mówił? —

Cecylia skinęła głową.

— Skoro cię zobaczy, nie będzie się mógł dłużej gniewać. O! bracie kochany, nie porzucaj nas więcej! Jak smutno było bez ciebie w domu. Ile razy chcieliśmy mówić, zawsze twoje imię mieszało się do rozmowy; ojciec się za to gniewał, a my, nie umiejąc o czem innem mówić, musieliśmy zamilknąć; ale tak nam było przykre to milczenie.

— Nieoszacowana Cecyljo!

— A gdzie twój pies? czy go nie przyprowadziłeś z sobą?

— Zabito mego Kastora, — odpowiedział młodzieniec posępnym głosem.

Tak rozmawiając przyszli niedaleko domu, który wysoki i zrujnowany z pośrodku drzew wyglądał. Cecylia, lękając się, żeby zbytek radości nie za-

szkodził matce, prosiła brata, aby zaczekał, a sama z ośmnastoletnią lekkością ku domowi poskoczyła. Salvator, sam pozostawszy, rozczulonem okiem prowadził po wszystkich przedmiotach miłych jego sercu. Nie raz w upał południowy chronił się pod ten gęsty kasztan; nie raz leżąc pod tym kwiecistym krzakiem, widział nasuwające się cienie nocy, słyszał zwolna cichnące głosy ludzkie, nadawał miana gwiazdom, lub płakał, rozczulony melodyją słowika. Tu matka pocieszała go po stracie ukochanego jagnięcia; tutaj się modlił, a Luidzia mu rzekła: Bądź dobrym, a Bóg cię będzie błogosławił. — Pograżony w lubych wspomnieniach, ujrzał nadchodzących wieśniaków i ukrył się w krzaki.

Cecylia nie sama wróciła; matka, blada z radości i przejęcia, szybkim postępowała krokiem, wsparta na ramieniu ukochanej córki. Ojciec, przemagając czułość, i aby uchronić swą powagę od wszelkiej oznaki słabości, pozostał w domu. Dziękował tobie, Boże niebios i ziemi! serce jego miało pienia dla ciebie i radosne łzy na powrót syna.

— Gdzie on? — spytała matka drżącym głosem; — Cecyljo, mówiłaś, żeś go zostawiła pod starym dębem. — Okropna obawa przebiegła myśl zaboronnej Włoszki. — Gdyby to tylko było jego widmo?... O Boże! powróć mi moje dziecię!

Ledwie co wyrzekła, nadbiegł Salvator, trzymając małego Franczesko na rękę; złożył go na trawie i przycisnął matkę do serca.

— Matko moja! O jakże jestem szczęśliwy! — A matka zaledwie wyrzec mogła: — Salvator, drogie moje dziecię! — Potem przyglądała mu się łzawem okiem, zadawała mu pytania, i znowu przerywała jego odpowiedzi, aby go pytać na nowo. Tylu rzeczy chciała się dowiedzieć! Aby zaspokoić jej niecierpliwość, trzeba by stworzyć wyrazy, głosy pośpieszniejsze!... Antonio ukazał się na progu; Sylwio, najmłodszy z braci, pobiegł ku Salvatorewi, który śpiesznie oddawszy mu pieczętę, rzucił się w ramiona roztwierające się na jego przyjęcie. Zrazu uczuł się silnie przycisnięty do piersi, w której ojcowskie biło serce; lecz wkrótce został odepchnięty.

— Gdzie byłeś? Jak mogłeś matkę i siostry zostawić w strapieniu? Nie wspominam o sobie; życie moje było ciągłą szkołą nieszczęścia.

— Tylko z dobrocią, Antonio! — rzekła matka, składając ręce. — Nie udawaj surowości, której nie masz w twojej duszy. I ty jesteś szczęśliwy, że oglądasz znowu mojego Salvatoriello.

— Niechaj więc usprawiedliwi swe oddalenie, — rzekł ojciec, przechadzając się wielkimi krokami. — Ciekawy jestem, co też będzie mógł przytoczyć na swe usprawiedliwienie.

Salvator dumnie podniósł głowę; matka przestraszyła się tem poruszeniem.

— Synu, ojciec twój i ja, obojeśmy cierpieli.

Zamiast unikać wzroku ojca, Salvator owszem starał się ściągnąć go na siebie, uspokoiwszy pierwszej matkę uśmiechem niewymownej czułości.

— Ojczu, ja także cierpiałem.

— Nie widać tego, — odpowiedział ojciec ironicznie.

I znowu milezącą rozpoczął przechadzkę. Matka niespokojna, szukała na twarzy syna śladów owego cierpienia.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

NADZWYCZAJNA PAMIĘĆ.

W Baltymorze, północno-amerykańskiej prowincji Maryland, znajduje się Anglik, nazwiskiem Reading, który publicznie popisuje się z nadzwyczajną pamięcią swoją i darem kombinacji nie do uwierzenia. Tenże każe sobie od 6 albo 12 osób tyleż powieści, poezyj lub politycznych artykułów razem czytać, a po ukończeniu tego wspólnego czytania, z osobna słownie prawie bez przerwy powtarza. Jako arcydzieło jego mnemotechnicznych wykonań to można było uważać, które na korzyść własną dawał. Z koła słuchaczy wystąpiło 12 osób z własnej chęci na widowinę, z których każda z biblioteczki podręcznej wzięła jakie dzieło w języku angielskim, francuzkim, hiszpańskim lub łacińskim. Obstawiono artystę i głośno czytać zaczęto. Ten siedział w środku za stolikiem, rozwiązując trudne zadania matematyczne, które mu podano, a tym czasem pilnie przysłuchiwał się czytaniu. Liczne zgromadzenie było w największym oczekiwaniu; i mocnymi oklaskami nagrodziło artystę, gdy należycie rozwiązał zadania matematyczne, i był oraz w stanie każde czytanie z osobna po kolei powtórzyć.

AKTORKA PRZY TOALECIE MĘŻKIEJ.

Nie zapomnę nigdy (mówi w dzienniku swojej podróży pewien Anglik), jak przy wystawieniu w Madras *Makbeta*, młody Anstey, syn sławnego autora: »Przewodnika w Bath,« dla braku jednej aktorki, wystąpił w roli Lady Makbet. Każdemu wiadomo, że w gorącym klimacie broda nad zwyczaj prędko wyrasta. Broda Ansteya, najmocniejszej czarności, w ciągu przedstawianej sztuki tak nagle rosła, że Lady musiała się między czwartym a piątym aktem ogolić. Parne powietrze za kulisami zmusiło Pana Anstey z całą swoją toaletą wynieść się na chłodniejszą scenę. Natenczas ktoś, chcąc żart złośliwy wyrządzić, zadzwonił. Podniesiono korytnę, a piękny świat w Madras z niemałym podziwieniem ujrzał Lady Makbet przy toalecie, tak niewłaściwej płci żeńskiej. Wystawmy sobie krzyk i huczny śmiech publiczności!

R O Z M O W A.

O N.

Ty nie pierwsza! widziałem ja kobiet tysiące, Sliczne lica i oczy powaby siejące, I w nich całą niewinność, w ustach słodycz całą, I świeżuchny rumieniec, rączkę, nóżkę małą, I czarny włos po białem roztoczony czole, I kibic!... cuda prawie na podniebia kole. O! ty mi sama powiedz, czy w młodzińczej duszy Piękność i wdzięk uroczy podziwu nie wzruszy? Czyż niczem jest dla serca spojrzenie anioła!? O! ty mi sama powiedz! bo dziewicza mowa Niewinnem technieniem czucia ubogaca słowa, I całą czystość prawdy do twych ust przywoła!

O N A.

I ty mnie o to pytasz!? ja żebym odgadła, Czy twoje serce zdolne jeszcze wybiedz z granic, Jakież mu wskazał odtąd, kiedym je posiadała? Powiem... że u was jest to nazbyt snadnie Włot pokochać i dawne przysięgi mieć za nic.

O N.

Niech się wprzód myśl taka w dno piekieł zapadnie, Nimbym ją duszy odkrył... bo z wszystkich piękności Tyś najpiękniejszą dla mnie! i chociaż ci głoszę Ogrom widzianych wdzięków, słodyczy, skromności, Lecz któż mi zmysły zabrał, objawił rozkosze?... Wyprzesz się, że to nie ty!? cóż luba tyranko, Chwiejesz się... jak młdy kwiatek, gdy go ziębi ranko, Nie potrafisz wynaleźć na odparcie broni, Ściskasz usta... bo duch twój za szczerotą goni.

J. K. Karwadzki.